№ 3. Warszawa, dnia 18 (6) Stycznia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń. Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Warszawa, w Styczniu 1896 r.

Gdyby wszystkiemu co się zaczyna dobrze, pomyślnie czy wesoło można wróżyć dobry, pomyślny albo wesoły, koniec, to rok bieżący zapowiadałby nam się pod jakąś szczególnie ochoczą wróżbą.

Wesolutko sobie jest dokoła nas. Rauty białe i nie białe, bale inżynierskie, techniczne i architektorskie, bale korporacyjne organizowane przez naszych sprężystych, naszych łyżwiarzy i naszych marynarzy słodkiej wody, bal rzemieślników — te jednem słowem, które się już odbyły i te, które mamy zapowiedziane w najbliższej przyszłości — wszystkie razem wzięte świadczą o nastroju karnawałowym jeśli nie powszechnym, to przynajmniej o wiele powszechniejszym niż w latach ostatnich.

Jakim to dzieje się sposobem, że ludzie w jednym roku więcej są do zabawy dysponowani, niż w innym — trudno byłoby objaśnić, ale że tak bywa to fakt niezbity, i chcąc się o prawdzie tej przekonać, dość będzie porównać te pierwsze dni Stycznia roku bieżącego z odpowiednimi im zeszłorocznymi. Prawdopodobnie musi to być tak: jednym na duchu i kieszeni raźniej jest dzisiaj niż było wczoraj, drudzy uważają za słuszne udawać, że doświadczają pod jednym i drugim względem różnic takich samych, a reszta, albo nic nie myśli, albo sobie dodaje otuchy chłopskim aforyzmem: „Nie za nas się poczęło — nie za nas się skończy" i drugim takiejże treści i tego samego pochodzenia: „Nie było nas by! las — nie będzie nas, będzie las."

Tym ostatnim daremnieby ktoś chciał przedstawiać, że jeden i drugi aforyzm grosza złamanego nie wart, bo dużo bardzo rzeczy nie za nas poczętych za nas się skończyło, choćbyśmy właśnie za przykład wielce wymowny wziąść chcieli ów las, który przed laty był sobie lasem istotnym, a dzisiaj nazywa s wycinką albo gołoborzem.

Wogóle na kwestyą konieczności hałaśliwych zebrań towarzyskich tyle jest nieledwie zapatrywań, ilu ludzi nawykłych do zdawania sobie sprawy z tego co robią, jak robią, i dlaczego robią tak a nie inaczej. Od krańcowego, prawie że kwakierskiego orzeczenia, którem surowy moralista stara się przekonać, że taniec to taka sobie rozrywka, która się w karczmie poczęła i z czasem a z postępem do karczmy powrócić musi, aż do poglądu zatroskanych o szczęście dzieci ojców i matek, którzy twierdzą, iż nieludzkiem byłoby poprostu pozbawiać młodość tej uciechy — tysiące jest na tę sprawę poglądów, w miarę zwłaszcza jak się w rachunek przyjmować zaczyna okoliczności towarzyszące, które w samej rzeczy o wszystkiem tutaj decydują.

Nie dlatego też bynajmniej, aby jednemu z tych zapatrywań dawać pierwszeństwo przed drugiem poruszamy tę materyą; nam idzie o to jedynie, dlaczego uwzięła się filantropja czepiać się uporczywie ludzi rozbawionych, jak gdyby to był jeden jedyny, najpewniejszy środek przyjścia w pomoc potrzebującym i chorym, i jak gdyby takie ustawiczne mięszanie ze sobą pojęć rdzennie sprzecznych: karnawałowego szału i współczucia dla niedoli ludzkiej, mogło się obejść bez dotkliwej obrazy wszelkiej zasady i co najgorsza bez skrzywienia zmysłu moralnego u dojrzewających i niedojrzałych.

A naprzód tysiące już razy przekonywali ludzie dobrej woli i trzeźwego rachunku, iż nic bałamutniejszego jak cyfry zapomóg podawanych jako rezultaty otrzymywane za pośrednictwem balów i koncertów. Zawsze w podsumowanych ryczałtowo kolumnach rozróżniaćby tam należało nadpłaty i dary pokaźne a bezimienne najczęściej, bo te dary i owe naddatki to właśnie wszystko co składa bezinteresowne miłosierdzie ludzkie. Gdybyśmy do tej pozycyi dodać chcieli to coby się dało osiągnąć przy umiejętnem zużytkowaniu wpływów, stosunków i powagi jednostek proszących, gdybyśmy nadto dla godziwego celu posłużyć się chcieli mniej moralnym może, ale za to wielce skutecznym środkiem, i popróbowali wyzyskać taką minę złota, jaką przedstawia próżność ludzka, przekonalibyśmy się odrazu, wieleby to na tem zyskali potrzebujący i jakbyśmy sobie przytem wyprostowali jednym zamachem to co się pokrzywiło w pojęciach, i rozplątali a oczyścili to, co się zagmatwało i zmąciło przy dotychczasowej metodzie filantropii tańczącej. Mówi się naprzykład, że tegoroczny raut biały dał dochodu 2 tysiące rubli, ale się zapomina wzmiankować, że naddatki i dary dobrowolne wyniesły połowę całej sumy, tak samo jak koncert na pomnik Moniuszki przyniósł niby 400 rubli, ale w tem dar pojedyńczy stanowił rubli sto, a kwoty nadpłacone blizko drugie tyle.

Wogóle rachunek cały jest w przeważnej liczbie wypadków mylnym, a skuteczność środka aplikowanego dotąd, więcej niż illuzyjną. Idzie nam jeszcze tylko o drugą stronę tej kwestyi, którą poruszyliśmy, to jest o antypedagogiczny wpływ, jaki tego rodzaju kojarzenie zbytkownej zabawy z aktami chrześciańskiego miłosierdzia na umysły młodzieży wywiera, a wpływów tych w żaden sposób ignorować nam nie wolno, bo ostatecznie młodzież a nie kogo innego bawimy tym sposobem — dla młodzieży urządzamy te zgromadzenia — nie komu innemu tylko dzieciom naszym migoczemy przed oczyma ustawicznie takim tanim sposobem pozbywania się obowiązku, i taką pogardą ludzkiej niedoli.

Zrozumiejmy się dobrze. Dalecy jesteśmy od zaprzeczania komukolwiek prawa do swobodnego korzystania z darów fortuny, nie po myśli nam jest

dokuczliwy nacisk krępujący swobodę ruchów jednostki, pojmujemy nadto w całej rozciągłości konieczność istnienia obok siebie najróżnorodniejszych warunków bytu, ale właśnie dlatego idzie nam o to, żeby zestawienia wychodziły jak można najmniej rażąco, a przez wzgląd na tych co cierpią, jak najmniej dokuczliwie.

Badamy psychologią jednostek i tłumów; wiemy coś o tem, czem jest psychologia tłumu oddanego ekstazie religijnej — tłumu zostającego pod wpływem egzaltacyi politycznej i t. p.; od tych wszystkich nie mniej ciekawem i pouczającem byłoby zbadanie psychologii tłumu rozbawionego. Przekonani jesteśmy, że wieleby ztamtąd wynieść można światła ku pożytkowi ludzkiemu.

I gdybyśmy nie tak powierzchownie traktowali te sprawy, jak je traktujemy zwykle, pierwszym względem któryby nam się rzucił do oczu byłoby zrozumienie kardynalnych rozróżnień jakie tutaj zachodzą. Można zupełnie zrozumieć człowieka który się bawi wtedy kiedy mu z myśli, z oczu, a przeto i z pamięci zejdzie niedola ludzka, czy nią będzie kalectwo i opuszczenie starca, czy poniewierka sieroty, czy ciemnota pogrążająca młodość w upadek i upodlenie. To wszystko pojmujemy zupełnie, i ani na myśl nam przyjdzie rzucać kondemnatą na tych, którzy mogąc pofolgować sobie, folgują mniej albo więcej, ale dlatego, że im wszystko co jest smutkiem, boleścią i niedolą wyszło z pamięci.

Nie tak zupełnie daje się w przekonaniu naszem usprawiedliwić człowiek myślący, który przejdzie obok niedoli obojętnie i z pamięcią o niej bawi się i ucztuje, a najmniej z pewnością taki, który rzuca tysiącem dla własnej zachcianki oddzielając od tego tysiaca z cynicznym wyrachowaniem grosz jeden, dlatego, aby mu nikt powiedzieć nie mógł, że wszystkich obowiązków swoich nie spełnia jak należy. To już jest faryzejskie nawskroś i dlatego najprzeciwniejsi jesteśmy takim lekcyom wykłamywania się od obowiązku dawanym stale młodzieży. Poruczamy też tę sprawę arcyważną przewidującym sercom matek naszych, które z pewnością wiedzą najlepiej, czem jest oschłość serca w kobiecie młodej, i ocenią w jakim stopniu prowadzi do niej hałaśliwa i zbytkowna zabawa przedsiębrana dla rzekomego ulżenia chorobie, kalectwu i nędzy.

Wielki czas u nas na reformę w tej sprawie. Baw się gdy chcesz i możesz — wspieraj nędzę o ile ci serce nakazuje, a możność pozwala, ale przez miłosierdzie nie łącz jednego z drugiem, bo to już zbyt wyraźnie na szyderstwo zakrawa. Potrzebujący czy chory nie jest jako jednostka więcej wart od niepotrzebującego a zdrowego, ale nędza jako złe społeczne jest rzeczą świętą i nie godzi się urągać jej szyderstwem minimalnego daru, rzucanego z wysokości naszych karnawałowych rydwanów. Przekonani jesteśmy — najmocniej przekonani, że inicyatywę reformy podjąć winna kobieta, bo leży to w obrębie jej dobrze pojętych emancypacyjnych dążeń—to jedna z reform do której kobietę naturalny popęd serca najpierw popchnąć powinien.

Przejdźmy od tych co ucztują do pracujących a zatroskanych w walce przechodzącej w wielkiej części wypadków ich siły. Będzie to rodzajem trzeźwiącej soli, która wogóle nigdy, a najmniej już wśród karnawałowych niewywczasów szkodliwą być nie może.

Zdaje się, że w Warszawie zobaczymy prędzej stowarzyszenie nauczycielek Szwajcarek, niż podobne dla własnych naszych kobiet, pracujących na tem polu. Dla tamtych już się znalazł fundusz paru tysięcy rubli, my do tej pory gwarzymy sobie w kółkach kobiecych o równouprawnieniach, katedrach uniwersyteckich i innych fularach Robinsonowskich, ale o zabezpieczeniu solidarnem przeciwko starości i niemocy naszej nauczycielki nie myśli ani ona sama, ani za nią nikt z ofiarnością nie występuje. A przecież świeżo oto znalazł się fundusz 1,000 rubli na turniej szachowy. Bodaj że los opiekował się społecznością, która ma zawsze grosz gotowy na sport, dziwactwa i ekscentryczności wszelkie, a nie ma go tylko tam gdzie idzie o obronę najżywotniejszych interesów. Gdyby nam kto zarzucił, że tyle dbamy o nasze dzieci, ile o te, które się niemi zajmować mają, nie wiedzielibyśmy doprawdy co na to odpowiedzieć.

Nie osobliwie idzie tym nauczycielkom wszędzie zkąd nas echa dochodzą. W Krakowie pracownice te, które ustawa dzieli na starsze i młodsze, wystąpiły w zeszłym miesiącu do sejmu o zrównanie w prawach obu tych klass, a jest po temu słuszność bo kwalifikacye dla jednych i drugich te same zupełnie. Jest jedna tylko różnica t. j. w płacy, która się różni znacznie, ale tu widać właśnie mądrość władz edukacyjnych tamtejszych, które w takiem chudziutkiem wynagrodzeniu nauczycielki młodszej, widzi zmuszanie jej do dalszej nad sobą pracy i doskonalenia się. Przepyszna jest tego rodzaju pedagogja, rozłamująca na dwoje suchy kawałek chleba pracownika, z obawy aby się nim nie przejadł jedząc zbyt chciwie, czyli nie złożył kapitałów z pensyi wynoszącej na naszą monetę trzysta mniej więcej rubli.

Towarzystwo imienia Kraszewskiego rozszerza działalność swoją; zaczyna teraz właśnie przychodzić w pomoc kobietom nietylko kształcącym się na uniwersytetach, ale i tym, które sposobią się do pracy zawodowej wszelkiej. Nic słuszniejszego zdaniem naszem być nie może. Tych samych dążeń składa dowody i czytelnia dla kobiet, gromadząc dla wspólnej pracy i oświaty młode mieszkanki Krakowa, urządzając odczyty—wogóle nie zaniedbuje czytelnia sposobności żadnej spełnienia programu swojego. Za to zakusom emancypacyjnym z wielkiemi założeniami nie osobliwie się powodzi. Miał być jakiś bal czy raut w Krakowie; wezwano wszystko co żeńskiem jest, aby spieszyło zainaugurować nową erę, bo już to jak wiadomo na wielkich słowach nie zbywa w tej robocie. Zgromadzenie chybiło; kobiety nie stanęły na wezwanie.

Znać też tam i agitacyą całą przeciw temu kierunkowi. Związek naprzykład literacki urządza u siebie pogadanki; na piątej z kolei takiej pan Ludomir Glatman opowiadał życiorys emancypantki polskiej z XVIII stulecia, lekarki, niejakiej Salomei z Makowskich 1-o voto Halpir, 2-o Pilsztein. Nie możemy zrozumieć istotnego celu ujawniania złego życia kobiety, które jednocześnie oddawała się i medycynie. Jeżeli był w tem cel, to jest chybiony. Kobiety z pojęciem o godności swojej i z powołaniem do tego zawodu naracye takie nie powstrzymają, i źle byłoby gdyby powstrzymały. Inna rzecz nauka, a inna występne życie.

Źle się biorą ludzie do tej sprawy z jednej i drugiej strony. Ci szkalują wszystko, tamte znowu nie wiedzą, gdzie granica uroszczeniom. Bieda jednem słowem zawsze ta sama.

A. S.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

— Mniejsza z tem — rzuciła w pierwszej chwili niedbale i lekko, ale poprawdzie, była nieco gniewna. Już przeszło tydzień nie spotkała doktora w przejściu, a trzy tygodnie jak nie był u nich z wizytą. — Czyżby się wycofał?

— Świat bez mężczyzn!... ha! ha! — pomyślała po chwili, z uśmiechem na ustach, który mówił: gadajcie, co chcecie, i słuchajcie, co wygaduję, jeśli chcecie. — A to byłoby oryginalne! — dorzuciła, czując doskonale, że ona pierwsza, gdyby miała o trzy procent mniej mężczyzn w otoczeniu, byłaby jak żeglarz na morzu, w łodzi bez steru, bez żagli i wioseł. — Tylko prawdziwie gniewa mnie ta ich olbrzymia zarozumiałość i przewaga, te ich przywileje na naszej krzywdzie zbudowane — myślała poważniej, — to jakieś wtłaczanie się w nasze życie, z brutalnością pięści, bez czego chyba nigdy nie byliby naszymi panami!... (Choć jak oni są nam potrzebni!...) Ale gniewa mnie, i oburza, czy ja wiem co właściwie? W słowach tego powiedzieć nie umiem. Lecz miałabym chęć drwić z nich bez pamięci! W życiu mają często owe głupie miny z maskarady, gdy pod wyznaczonymi filarami wyczekując „tej z bzem” lub „tej z konwalią — wszystkim czule zaglądają w oczy, w nadziei, że się złowi która!... Ah, tak! drwić, drwić — to przyjemność! I wszystkich wyprowadzać w pole, skoro im się podoba iść ze mną; a potem kłaniać się jednemu za drugim, życząc wybornej zabawy, lecz bez mojego udziału, bo ja nie mam najmniejszej do tego ochoty.

Z temi myślami dopadła ulicy Erywańskiej, już napowrót bardzo żywym krokiem.

Wbiegła na drugie piętro jednej z wielkich kamienic i zadzwoniła.

— Pani w domu? Był kto? Są listy? — jednym tchem rzuciła służącej.

— Był jakiś pan, zostawił bilet; listy trzy — odparła pokojowa, podsuwając tackę.

Ada zrzuciła okrycie, i wnet chwyciła wizytową kartę.

— Janusz Oroński? Janusz!... Jancio!... Zkąd się tu wziął? — zawołała z radością i zdziwieniem. — Czy ten pan przyjdzie jeszcze? Co powiedziałaś?

— Że panienka po piątej w domu.

— Ah, a te nieszczęsne lekcye!... Ale to nic! mogę opuścić — mówiła do samej siebie. — Powiedz pani, że powróciłam, i dawajcie obiad, prędko!

II.

W półtorej godziny potem, Ada siedziała w swoim gabinecie.

Na wyłączny użytek zajmowała ona dwa pokoje, przy dalekiej krewnej, samotnej wdowie, lat przeszło sześćdziesięciu, z którą wiązały ją tylko dogodne warunki wzajemnych stosunków i układów.

Pani Eliza Męcka, jako osoba już wycofana z wielkoświatowego ruchu mogła bez różnicy część obszernego mieszkania odstąpić, co dawało pewien pozór opieki, jakiej Ada ze względu na przyzwoitość i pewien dobry ton sobie życzyła. W gruncie zaś rzeczy, zacna staruszka, filantropją i modlitwą była zajęta, a jako bezdzietna, nieprzyzwyczajona do serdecznych usług, nic dla siebie nie wymagała, i w nic się nie wtrącała; nie kontrolując ani wydatków i zabaw młodej kuzynki, ani jej ruchów i znajomości. Czyniła to zaś równie przez delikatność uczuć, jak i przez ufność, na zapatrywaniach swych opartą, a właściwą dawnym, prawym matronom, które przedewszystkiem nie pojmowały niewiast, bez jakichkolwiek zasad religijnych. Nadto osoby takie posiadając świadomość zła i płochości, nie przyznawały im wszakże prawa istnienia w każdej kobiecie, wierząc przytem, że szlachectwo obowiązuje. Między grzechem i ujmą, a cnotą i chlubą zakreślały one tak ścisłe, wyraźne granice, że czarne i białe napiętnowane było właściwemi im barwami, wskutek czego wcale nie zostawało miejsca na sztukę nowoczesnego lawirowania pomiędzy jednem i drugiem, na wszystkie wysubtelnienia poglądów, uczuć, rozumowań i czynów, czyli na to całe mętne i zwikłane matactwo, zrodzone z wodnokrwistych, sztucznych uniesień, z chwiejnych zasad, właściwych niedoświeconym mózgom i nerwom nieokiełznanym, jak wichry bez wodzy.

Pani Męcka zatem widywała Adę jedynie podczas obiadów, rzadko wieczorem, a gości jej prawie nigdy, lubo z chęcią pozwalała ich przyjmować w swoim salonie.

Ada wszakże z uprzejmości tej korzystała rzadko, wolała bowiem zawsze być u siebie. A właściwie dopiero tu, wśród otoczenia przez się stworzonego była na tle, z którem w pełni harmonizowała.

Cały jej gabinet bowiem przedstawiał obraz mieszkania kobiety, która oczywiście ma dość fantazyi, dość upodobań artystycznych i przyzwyczajeń zbytku, by w czemkolwiek uchybić wymaganiom tegoż i poczuciu estetyki; ale przedewszystkiem żywi wstręt do utartego porządku rzeczy i systematyczności, nie lubi chować, składać, szukać, zastanawiać się. Czasem bawi się w figlarza, wykręcającego przedmioty i ozdoby na sztorc, na wspak, lub na skos, gusta zaś posiada zmienne, nawet w czytaniu książek, których przynajmniej trzy jednocześnie otworzone leżały tu i owdzie.

W tej chwili Ada rozparta na otomance oddawała się niespokojnej pracy myśli, której przedmiotem był ów oczekiwany przybysz.

Janusz Oroński był jej kuzynem, dość dalekim przez stopień pokrewieństwa, lecz bardzo blizkim przez serdeczną zażyłość, chociaż ta ostatnia polegała głównie na wspomnieniach z epoki dzieciństwa, w późniejszych bowiem latach stosunki między niemi prawie się przerwały skutkiem różnych przewrotów, jakim obie rodziny uległy.

Dom rodziców Ady rozbił się, nie z powodu śmierci, lecz przez pęknięcie węzłów zdawna źle spojonych, a troje dzieci, potomków niedobranego małżeństwa rozproszyło się, jak to często bywa, gdy mimo majątku zapewniającego swobodę osobistą, zabraknie moralnych i sercowych łączników.

Oroński zaś, po stracie ojca i całego mienia, w latach bardzo młodych wyrwany z warunków sobie właściwych, ukończywszy akademją techniczną w Dreznie, obracał się wciąż między obcymi.

To były jedyne wiadomości, jakie o nim posiadała Ada, zaczerpnięte kiedyś u siostry, pani Zdzisławowej Keniowskiej, która jako starsza i zamężna starała się pewne stosunki nawet z dalszą rodziną utrzymać.

Lecz panna Smieńska nie nad przeszłością zastanawiała się w tej chwili, ani nad tem jakich losów zażywał Janusz, i jak się wyrobił. Śmiałymi rzutami zakreślała natomiast przyszłość, kuzynem rozporządzając odrazu jak własnością swoją. Spodziewała się bowiem, że oczekiwań jej nie zawiedzie pod względem układu i powierzchowności; wiedziała, że dobrem nazwiskiem, w starą szlachecką oprawnem koronę ujmy nie przyniesie, a że potrzebowała towarzysza na ranty, koncerty i ślizgawki, więc cieszyła się nadzieją, że odpowiedniego w nim pozyska, i na ten temat zawczasu szerokie snuła plany.

Naraz jednak wśród tych rojeń oczy jej padły na listy, dotąd spokojnie leżące na stoliku, powstała tedy żywo, odsuwając z lekceważeniem jeden z nich kobiecem pismem zaadresowany, szybko rozerwała drugi, z marką miejską na wierzchu.

— Wyobraża sobie, żem brunetka, ze słodkiemi niebieskiemi oczyma, i zapewne potulna „kura domestica”... ha, ha! To psycholog znakomity! — pomyślała.

Poczem, rozśmieszona, znacznie powolniej rozdarła trzecią kopertę, opatrzoną zagranicznym stemplem.

— Hubicz, rzecz prosta — szepnęła już z pewnem znudzeniem.

Lecz, gdy ujrzała papier gęsto zapisany, po twarzy jej wnet przemknęło ożywienie, nakształt nagłej myśli: „a nuż znajdę, czego się nie spodziewam.”

Jakoż rozłożyła arkusik, pierwszą stronę ominęła, wzrok zatrzymując na ostatniej, wreszcie na środkowych, i w samej rzeczy jej matowe lica zabarwiły się dość szybkim i mocnym rumieńcem gniewu, czy wzruszenia.

— Szaleniec!... On chce przyjechać tutaj, pracować, dać się poznać „talentem?” Ależ środków do życia nie ma, i talentu nie ma! Pisze jak dziesiątki innych, zginie!... przecież lekcyi szukać mu nie będę.

Myślała przez chwilę, myślała.

W końcu wzruszyła ramionami, list cisnęła; po pokoju przeszła.

Jednak trudno jej było ztąd oderwać uwagę.

— Mazgaj! — podjęła znowu. — Jękliwe żale rozwodzi nad tem, że za mało piszę mu o sobie. „Zajmuje mnie wszystko, co pani czyta, studyuje, stwarza, lecz stokroć więcej to, co pani myśli i czuje; a tego w listach szukam napróżno!” — powtórzyła, znów biorąc do ręki wiotki, pospolity papier i znów go ciskając, tym razem w głębiny kosza, stojącego przy biureczku. — A to wyborne! ja miałabym przed nim czynić wynurzenia, głupiec! I przyjazdowi jego zapobiedz muszę, bo mi się to wcale nie podoba! — myślała dalej.

Poczem objąwszy niedbałem spojrzeniem ostatni list nie tknięty, napowrót siadła na kanapce.

— Ah, te przyjaciółki! — mówiła w duchu, potrząsając głową. — Całe lata gotowe pisać o mężach, dzieciach, ogrodach, indykach, niesnaskach ze szwagrami, z bratowemi, i dziwią się, że ja korespondencyi takiej nie podtrzymuję z zapałem! Co mi z tego i co po tem?...

W tej chwili rozległ się odgłos dzwonka w przedpokoju, i ku drzwiom porwał jej myśl, słuch i oczy.

Była jednakowoż tak wytrącona z poprzedniego przygotowania i nastroju tem czytaniem listów, że zmieszała się, jak ktoś, co zwykł do najmniejszego wydarzenia i czynu przyspasabiać się zawczasu, a zostaje nagle zaskoczonym.

Oroński, bo on to był w istocie, wchodził nietylko ze zwykłą dziarską butą, jaka cechowała jego ruchy i postawę, ale nawet z pewną wesołością w swej sympatycznej, otwartej twarzy, którą okalał jasny zarost, a pogodną czynił wyraz oczu szafirowych, pełnych pewności siebie, właściwej człowiekowi świadomemu swych zasad i dążeń.

Przez chwilę oboje patrzyli na siebie ciekawie, badawczo, z niejaką śmiałością ludzi sobie pokrewnych, ale i nie bez wyłącznego zainteresowania, jakie budzi się mniej więcej zawsze pomiędzy młodym mężczyzną i młodą kobietą przy pierwszem zetknięciu oko w oko. U niej zmieszanie wzrosło, w nim zaczynało się dopiero.

Ada odrazu osądziła, że nie ma przed sobą ani „zblazowanego” młodzieńca, ani też posłusznego manekinka, jakimi już obracała po swej szachownicy, Orski zaś widocznie też uległ jakiemuś zadziwieniu, czy wzruszeniu.

Ale szybko pochylił głowę nad ręką, jaką mu podała i rumieniec ukrył. A potem już swobodnie zaczął:

— Nie spodziewałaś się, kuzynko, mego pojawienia?

Na ten dźwięk i Ada po części oprzytomniała.

— Ah, tak — odparła. — Tylko... nie mów mi „kuzynko!” Bo czemuż nie mamy zwać się po imieniu, a ja tamtej formy nie lubię, nie znoszę! Co? dobrze, nie zapomnisz? — prosiła wdzięczą się oczyma, i po raz drugi podała mu rękę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

(Dokończenie.)

Więcej szczegółów o prerafaelitach angielskich znajdzie ciekawy czytelnik w studyum de Sizeranne'a, drukowanem, o ile sobie przypominam w roku 1894 w paryzkiem „Revue de deux mondes.” Co do mnie, zaznaczam tu jeszcze, że ta nowa szkoła malarska budzi powszechne w Europie zajęcie, że Francuzi skłonni zawsze do uznawania jednej tylko na całym świecie sztuki francuzkiej, z podziwem dowiadują się teraz, że tam po drugiej stronie kanału, w społeczeństwie okrzyczanem za pozbawione poczuć i upodobań estetycznych, powstał nowy artystyczny kierunek zupełnie samodzielny, niezależny od wpływu którejkolwiek ze szkół paryzkich, pełen siły żywotnej,

pełen treści wewnętrznej, a zatem więcej rokujący na przyszłość, niżeli współczesne impresyonizmy, pointillizmy, a nawet plainairyzmy malarzy francuzkich.

Powróćmy do Ruskina. Po „Modern painters" ukazywały się jedne za drugiemi liczne jego dzieła treści naukowej, estetycznej, filozoficznej, moralnej, poemata, powieści, studya, artykuły krytyczne, a wszystkie przyczyniały się do tego, co nazwano „lepieniem po raz wtóry duszy angielskiej." Gorącem tchnieniem swojem topiły one lodową powłokę, w której oddawna zamknęła się ta dusza. Oto kilka tytułów najbardziej cenionych i najbardziej znanych prac jego: „Siedm świeczników architektury," „Kamienie Wenecyi," „Królowa powietrza," „Prozerpina," „Deukalion" i t. d. Podaję je tutaj dla wiadomości czytelników, ze względu na brak miejsca nie wdając się tym razem w rozbiór krytyczny ich treści.

Zbliżamy się obecnie do tej epoki życia Ruskina, w której myśliciel, miłośnik piękna, teoretyk-esteta, ustępuje w nim miejsca prawodawcy moralnemu, socyologowi, człowiekowi czynu.

Miłość przyrody, jak to zauważyliśmy już, towarzyszyła mu stale przez życie. Gdy młodzieńcem jeszcze po pierwszym zawodzie miłosnym popadł w ciężką i niebezpieczną chorobę, uleczyły go z niej Alpy. Innych jednakże bólów tej niepowszedniej duszy nie mogła nawet cudna natura alpejska ukoić, nie mogła uciszyć w nim głosu sumienia, który wzywał go na „nowe boje." W roku 1863 podczas pobytu w Szwajcaryi w Moraux pisze: „Cisza wielka otacza mnie dokoła, ale spokój, w którym żyję teraz, to spokój człowieka zagrzebanego w stosie liści i traw, na polu bitwy czerwonem od krwi. Zaledwo podniosę głowę, mam uszy pełne ludzkiego jęku. Źle mi bardzo i ciężko pomiędzy pragnieniem ciszy i szczęścia, a tymi strasznymi głosami, które dochodzą do mnie z oddali, wołaniem nędzy ludzkiej, której należy pospieszyć z pomocą i wrzaskiem zbrodni ludzkiej, przeciwko której wystąpić potrzeba."

Zwyciężył jęk ludzki, i esteta żyjący dotąd w sferze zachwytów, tonący w uwielbieniu przyrody i sztuki zstąpił ku ludziom-braciom—ku tym tłumom szarym, które przechodzą przez życie bez jednej chwili wznioślejszego uniesienia, i schodzą ze świata, nie przekroczywszy ni razu myślą i pragnieniem poziomego zakresu potrzeb materyalnych.

Ukochany ideał piękna postanowił sprowadzić na ziemię, i przez piękno powieźć ludzkość ku dobru i prawdzie.

Napisał wtedy „Fors clavigera" list otwarty do pracowników angielskich, w którym wykłada swoje doktryny społeczne.

Nie sądząc, by słowo starczało za czyn, rzucił się z zapałem do wszystkich przedsięwzięć humanitarnych, mających na celu niesienie ulgi najsłabszym, i najbardziej upośledzonym.

On to dostarczył miss Oktawii Hill kapitału na budowę wzorowych domów dla robotników, jego dobrze zaopatrzona kassa stawała zawsze otworem, ilekroć szlachetna idea jakaś dla urzeczywistnienia się potrzebowała środków materyalnych. W krótkim czasie odziedziczone przezeń po ojcu pięć milionów przeszły do kass rozmaitych stowarzyszeń, dostały się ubogim i cierpiącym. Po wyczerpaniu kapitałów przyszła kolej na galeryę Ruskina.

Ukochane krajobrazy Turnera, oryginały starych mistrzów włoskich, wszystko ten czciciel piękna umiał złożyć na ołtarzu ludzkości.

W roku 1869 uniwersytet w Oxford powierzył mu katedrę sztuki. Nie potrzebuję dodawać chyba, że wykłady Ruskina ściągały tłumy słuchaczów.

Profesor sam jednakże uważał je za niedoskonałe ze względu na brak okazów niezbędnych do illustrowania prelekcyi. Ofiarował zatem uniwersytetowi 125,000 franków na założenie i utrzymywanie odpowiedniego muzeum.

Coś podobnego, ale w mniejszych rozmiarach zorganizował dla robotników w Scheffield. W pobliżu tego najważniejszego ogniska przemysłu żelaznego w Anglii założył szkołę rysunku, w której sam dawał lekcye dzieciom robotników, przy szkole zaś rodzaj muzeum, gdzie mieściły się dzieła sztuki, i wszystko, co do rozwinięcia umysłów mało wykształconych przyczynić się może. Muzeum to dla schylonych dzień cały nad pilnikiem miało być zakątkiem, w którymby dusze ich przez krótką chociaż chwilę przebywać mogły w sferze ideału.

Nie na tem jednakże ograniczyły się usiłowania Ruskina sprowadzenia piękna ze sfery sztuki i marzeń w życie. Tutaj musimy potrącić znowu o jego poglądy społeczne, które uderzają oryginalnością, i u ludzi praktycznych zyskały mu opinię marzyciela. Ruskin jest nieprzyjacielem wielkiego przemysłu, który zacierając indywidualność jednostki, czyni z niej automat, drobne kółeczko w wielkiej przemysłowej machinie.

Ten wielki przemysł zrobił podług niego ziemię brzydką i posępną, przejął jej atmosferę tumanem dymów fabrycznych, doprowadził ludzkość do fizycznego i duchowego zwyrodnienia, uczynił ją nędzną, nieszczęśliwą i złą. Z tęsknotą zwraca się Ruskim do wieków średnich, gdy nad ziemią powiewały chorągwie cechów, gdy pracę — przynajmniej w wyobraźni jego — opromieniała poezya. A więc zwrot ku tamtym czasom, zwrot od wielkiego przemysłu do rękodzieł, oto hasło, którego stał się najgorliwszym apostołem. Zdawałoby się, że takie wypowiedzenie walki tryumfującym na każdym punkcie prądom stulecia musi zakończyć się klęską zuchwalca, który śmiał przeciw nim wystąpić. Ale tego genialnego marzyciela najniepraktyczniejsze pomysły bywały zawsze wieńczone pewnem powodzeniem.

Nie będę opisywać usiłowań podjętych przez Ruskina i jego zwolenników celem odtworzenia zapomnianego już w Anglii kołowrotka, tryumfalnego odnalezienia gdzieś, w jakimś zapadłym kącie tego średniowiecznego narzędzia, i gorliwej propagandy naszego reformatora w rzeczonym kierunku pomiędzy ubogą ludnością niektórych okolic.

Zaznaczę tylko, że dziś w hrabstwie Westmoreland mężczyzni i kobiety z pożytkiem dla siebie trudnią się ręcznem przędzeniem i tkaniem płótna, zwanego płótnem Ruskina. Bardzo trwałe i mocne kosztuje ono od 2 do 6 szylingów za yard. Podobnie na wyspie Man wskrzesił Ruskin niegdyś wybornie się tam rozwijający rękodzielniczy przemysł sukienny. Są liczne rodziny w Anglii nie używające innych materyałów prócz płótna Ruskina i sukna z wyspy Man, lub wyrobionego w warsztatach „Saint George's guild." Ta ostatnia nazwa oznacza bractwo, stowarzyszenie, czy cech, zawiązane pod przewodnictwem Ruskina i przy pomocy jego kapitałów.

Wewnętrzna organizacya bractwa świętego Jerzego jest w części reminiscencyą urządzeń średniowiecznych, w części zaś wyrazem najbardziej postępowych idei współczesnych. Założonej przez bractwo większych rozmiarów fabryce sukna służy za motor młyn wodny. Tutaj dodać należy kilka słów objaśnienia. Ruskin nie jest stanowczym przeciwnikiem maszyny wogóle, jak by to z jego niechęci do wielkiego przemysłu wnosić można, lecz jedynie maszyny parowej, którą nie bez słuszności uważa za złego demona ludności robotniczej, wyniszczającego jej energię żywotną, pochłaniającego zasoby jej sił fizycznych i moralnych, czyniącego z przemysłowych miast Anglii, dymne, ponure, barw i świateł pozbawione jaskinie.

Zastosowanie zatem młyna wodnego jako motoru nie stoi w sprzeczności z całokształtem jego estetyczno-socyologicznej doktryny. Przeciwnie objaśnia nam ją, i tej niewykonalnej z pozoru mrzonce bardziej realne podstawy zapewnia. Zamiast motorów parowych motory naturalne, oto ustępstwo uczynione przez Ruskina na rzecz wielkiego przemysłu. I znów stoimy w punkcie, z którego wstecznik ten otwiera przed nami szerokie horyzonty przyszłości. Wszakże dziś już przewiduje nauka nadejście czasów, w których spadki wód, potężna siła wiatru tak źle użytkowana dotąd, energia promieni słonecznych, elektryczność i inne siły przyrody zastosowane do przemysłu, wyrugują parę z jej naczelnego w gospodarstwie ludzkiem stanowiska.

Wstręt Ruskina do maszyny parowej objawia się często w sposób, który my, przyzwyczajeni do pokornego chylenia głowy pod berło banalności czyli przyjętych zwyczajów, musimy nazwać excentrycznym. Wielki dziwak nie jeździ nigdy pociągami kolei żelaznych, książki jego na wozach rozwożone są po kraju. Ponieważ wspomniałam o książkach, dotknę jeszcze kilku słowami księgarni Ruskina. Nie na którejś z głównych ulic Londynu, jakby przypuszczać można, mieści się ona, lecz zdala od nienawistnego Ruskinowi gwaru wielkiego miasta, śród pól, łąk i ogrodów. W miejscowości nazwiskiem Orpington leży mały folwarczek t. zw. w Anglii „cottage" własność p. Allen, który wraz z całą rzeszą pomocników obojga płci, zwolenników i wyznawców idei Ruskina, trudni się ekspedyowaniem na wszystkie strony świata dzieł mistrza. Nie jest to przedsięwzięcie na małą skalę; w księgarni estetycznej w Orpington znajduje się książek za 700,000 franków. Nie ulega wątpliwości, że każdy z wydawców fachowych uważałby pomysł umieszczenia księgarni w jakiejś oddalonej od ruchu stołecznego wiosce, wprost za szalony, i przedsiębiorstwu tak dziwnie skierowanemu wróżyłby niechybny upadek. Tymczasem księgi rachunkowe Ruskin house'e przekonywają, że poetyczne marzycielstwo opłaca się czasem bardziej niż zręczność kupiecka, przebiegłość i reklama.

Dochodów, które dają dzieła Ruskina możnaby życzyć każdemu wydawcy. „Siedm świeczników architektury" w ciągu dziewięciu lat przyniosło autorowi 75,000 franków. Czysty dochód z jednego tylko wydania „Modern painters" wyniósł 150,000 franków i t. d.

Siedmdziesięciokilkoletni starzec mieszka Ruskin obecnie w Brantwood, uroczej miejscowości nad jeziorem Comiston.

W pobieżnym tym szkicu niepodobna mi było podać i połowy znanych ogólnie, charakterystycz-

nych rysów, mogących niepospolitą postać angielskiego pisarza oświetlić i uwydatnić. Nieprzebrany to zresztą materyał. Dzieła Ruskina są niewyczerpaną kopalnią myśli szlachetnych, czystych i głębokich, a głowę jego za życia jeszcze otaczać zaczyna nimb legendowy.

Wspominając o tym ostatnim objawie, przytoczony wyżej Robert de Sizeranne powiada, że mgły legend zarówno jak białe mgły górskie czepiają się zwykle szczytów.

Na zakończenie pozwólcie czytelniczki powtórzyć sobie słówko Ruskina o kobiecie, słówko małe, ale godne, aby głęboko wniknąć w nie myślą: „Powiedzieć o kobiecie, że pod stopą jej kwiaty nie więdną, jest to powiedzieć mało. Tam, gdzie ona przejdzie, uwiędłe—powinny powracać do życia."

H. C.

Klemens Junosza.

PRZYSIĘGA PANA SYLWESTRA.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy)

— I nie przykrzy się panu?

— Ależ wprost przeciwnie! Wymarzona posada! Błogosławię kuzyna; moje studya nad mową „andrusów," dorożkarzy, szynkownię na Czerniakowskiej i wszystkie okoliczności, które mnie w to ciche ustronie przywiodły. Mnie jest dobrze, zupełnie dobrze. Siedzę tu od lat pięciu. Kuzyn dotychczas był zadowolony, nazwiska nie narażam na kompromitacyę, aż dopiero teraz... trzeba nieszczęścia! I dokąd pójdę, gdzie się obrócę? A już zasiedziałem się tak, zniedołężniałem, nie mam siły do ponownej włóczęgi i życia bez jutra.

— Ale cóż się stało?

— Nieszczęście...

— Wypadek?

— Zdarzenie, tak, wypadek. Człowiek jest igraszką w ręku losu.

— Nie rozumiem. Może... sprzeniewierzyłeś się pan kuzynowi?

— A panie; ja jestem uczciwy z zasady, cudzego strzegę jak oka w głowie.

— Więc cóż?

— Patrz pan — rzekł wskazując ręką na willę. — Patrz pan... właśnie roleta się podnosi i przez szyby widać damę w batystach.

— Cóż, dama jak dama, młoda o ile dostrzedz mogę.

— Tak, młoda i ładna. O! podnosi rękę, z której opada batyst, śliczna ręka, istny marmur z Carrary! Patrzy na nas, a oczy ma duże, czarne jak piekło. Włosów las, falą spływają na ramiona. Ona o tem wie, nieraz rozpuści je zupełnie, jak płaszcz aksamitny i tak chodzi przed willą lub po ogrodzie. Ona to jest sprawczynią mego nieszczęścia, ale bo też i kuzyn mój. Nie pojmuję, jak mu podobna myśl do głowy przyjść mogła.

— Zakochałeś się pan?

— Jeszcze gorzej.

— To już nie wiem co mam myśleć.

— Stała się przyczyną mojej zguby, zatruła mi życie, zburzyła przyszłość...

— Któż jest dama?

— Ta dama jest małżonką pewnego handlującego, spekulanta czy przemysłowca. Nie ma dwóch miesięcy jak się pobrali. Mieszkają w Warszawie, a na lato najęli tę willę, którą pan dobrodziej chce wynająć.

— A więc ci państwo wyjeżdżają.

— Tak, panie.

— Mieszkanie niedogodne?

— Śliczne, doskonałe, cacko. Nie dlatego mówię, że należy do mego kuzyna, ale że tak jest; lepszego w okolicy nie ma.

— Jakiż tedy powód?

— Niech pan słucha. Ona ma na imię Berta, pani Berta, on pan Henryk. Zdaje się, że kochają się nawzajem i dość czule. Są bogaci, on, jak ona mówiła, robi w różnych rzeczach, głównie w wełnie. To wyrażenie nie jest wzięte z gwary andrusów. Wynajęli tę willę, sprowadzili się, było bardzo dobrze przez dwa tygodnie. On czasem wyjeżdżał do Warszawy, ale na bardzo krótko, rano dom opuszczał wieczorem wracał. Pani Berta była zachwycona mieszkaniem, parkiem, kwiatami, wodą. Kołysała się w hamaku, używała przejażdżki wodnej łódką po rzece, chętnie zbierała kwiatki w sąsiednim lesie Wszystko zachwycało ją, wydawała radosne okrzyki i klaskała w ręce jak małe dziecko... a ja, proszę pana postąpiłem jak idyota, jak mente captus w najprzedniejszym gatunku, teraz dopiero to widzę.

— Cóżeś pan zrobił takiego?

— Popełniłem wielki błąd. Trzeba było pójść do nich, do tych państwa i zażądać zapłaty czynszu, przy zgodzie bowiem dali tylko zadatek. Tego nie uczyniłem, żenowałem się. Ludzie bogaci, on finansista, handlujący wełną, człowiek elegancko ubrany, z łańcuszkami, pierścieniami, ona wystrojona aż szeleści, i jakże się tu takim przypominać o jakieś głupie kilkaset rubli!?

— Tymczasem zbankrutowali?

— Nie panie, zaszła innego rodzaju historya, w której i ja odegrałem pewną rolę. Stało się to przed tygodniem, właściciel tych willi, a mój kuzyn, był na miejscu, przyjechał z budowniczym, aby wybrać miejsce na nową willę, bo taka rzecz nieźle procentuje podobno.. Pan Henryk ze swoją małżonką siedział przy stole na werandzie; pili wino z pomarańczami i z lodem, gdy wtem nadbiegł ze stacyi posługacz z depeszą. Nasz lokator przeczytał, i chwycił się oburącz za głowę.

— Ważnego coś było widocznie.

— Jakaś awantura z wełną w Berlinie, wzywano go, aby natychmiast przyjechał, szło bowiem o grubą spekulacyę, o tysiące. Rzeczywiście, znalazł się w dość trudnem położeniu. Z jednej strony wełna, z drugiej młoda żona; nie sposób opuścić pierwszej, nie sposób pozostawić drugiej w lesie, samotnie, gdyż inne wille nie są jeszcze zajęte. Wezwano mego kuzyna i mnie na naradę.

— Jakaż narada?... Najprościej było zabrać żonę z sobą do Berlina, a tym sposobem pogodzić jedno z drugiem.

— Kuzyn mój proponował taką kombinacyę, ale nie przyjęto jej, ponieważ pani zdawało się, że jest chora, i że tak dalekiej drogi odbyć nie będzie wstanie. Do Warszawy wracać nie miała chęci, gdyż tam w mieszkaniu nieład, rzeczy zapakowane, firanki zdjęte, wszystko przesycone przykrą wonią naftaliny. Ośmieliłem się zauważyć, że możnaby zdać wełnę na łaskę losu, na depeszę odpowiedzieć depeszą i pozostać przy żonie, ale wniosek mój oboje małżonkowie przyjęli jednomyślnie wzruszeniem ramion, a spojrzenia ich zdawały się mówić o mnie: oto człowiek, który nie ma najmniejszego wyobrażenia o wełnie.

— I na czemże ostatecznie stanęło?

— Kuzyn mój, kochany kuzynek, przeciął dyskusyę, zapewnieniem, że pani w willi najmniejsze niebezpieczeństwo nie grozi, że ja będę się nią opiekował.

— Śliczny komis.

— Wolałbym drzewo rąbać przez cały dzień... ale trudno, pani Berta zgodziła się, jej mąż nie miał nic przeciwko temu... musiałem przyjąć narzuconą mi rolę. Kuzyn uprzedził mnie, że młoda osoba posiada wykształcenie, i gustuje w rozmowie poważnej, tej pani zaś dał do zrozumienia, że ja aczkolwiek się z tem przez skromność nie wydaję, znam jednak świat, czytałem, i studyowałem trochę.

— Sądzę, że taka rekomendacya ułatwiła panu zadanie.

Suchy człowieczek machnął ręką z niechęcią.

— Są zadania — rzekł, — są zadania tak trudne, że ich nic ułatwić nie może, a do takich właśnie należało moje. Zacząłem pełnić obowiązki opiekuna zaraz tego samego wieczoru, pani albowiem zaprosiła mnie na herbatę. Była niezmiernie uprzejma, własną ręką przysuwała mi talerze, a przytem stroiła takie minki osobliwe! Nie posądzam jej o zalotność, lecz jestem przekonany, że miała chęć zabawić się moim kosztem.

— Jakto?

— A no, myślę, że chciała olśnić mnie swą pięknością i wywołać niepokój w mojej łysej głowie.

— Może pańskie przypuszczenie było błędne.

— W każdym razie bardzo prawdopodobne.

— Byłeś pan więc w niebezpieczeństwie?

— Trzymałem się odpornie.

— W jaki sposób?

— Spuszczałem oczy... patrzyłem tylko w talerz i odpowiadałem monosylabami, jak ów jegomość z dziejów Gargantui, które opisał Rabelais, Ją to niezmiernie bawiło. Nie dawała mi spokoju, pragnęła koniecznie abym mówił, mówił o przedmiotach poważnych i abym sam wybrał temat. Jakiż tu temat wybrać?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

J. Matuszewski: Ideał bohaterstwa w dramacie staroindyjskim.

Jeden z yogissów (pokutnik, asceta) drogą długich rozmyślań i umartwień, cielesnych doszedł był do tak wysokiego stopnia świętości i potęgi duchowej, że mógł stać się groźnym harmonii wszechświata. Niezadługo już miała nadejść chwila, w której wzniósłby się do rozkazywania żywiołom, posiadł wszechwiedzę i siłę twórczą.

Bogowie stojący na straży owej harmonii postanowili zapobiedz temu. Narzędziem w ręku ich stał się król Hariezandra. Wszedłszy niespodzianie do chaty pokutnika, i nie wiedząc, z kim ma do czynienia, zachowaniem swojem mimowoli pobudził do gniewu świętego ascetę. Jedna chwila uniesienia zniweczyła owoce długoletnich umartwień i trudów, przyćmiła doskonałość duchową yogissa. Rozżalony pokutnik zwrócił się z wyrzutami do króla, który widząc jak ciężką wyrządził mu krzywdę, na klęczkach błagał pobożnego męża o przebaczenie. Ale cóż przebaczenie? Nagrodzić potrzeba wyrządzone złe, a jakaż nagroda zastąpić może doskonałość duchową, którą zdobyć usiłował asceta. Hariezandra ofiaruje mu swoje królestwo i olbrzymią sumę pieniędzy. Yogiss przyjmuje, a król dla dopełnienia obietnicy, zaprzedaje się w niewolę i tym sposobem otrzymjue zaledwo połowę potrzebnej mu kwoty. By ułatwić małżonkowi jego trudne zadanie, królowa wraz z synkiem zaprzedaje się również dobrowolnie.

I oto Hariezandra król, zostaje naraz niewolnikiem paryasa, dozorcy cmentarza; obowiązkiem jego jest grzebać trupy i całun śmiertelny pokrywający ciało nieboszczyka, oddawać panu swemu jako opłatę za pogrzeb. Ból Hariezandry jest wielki. Nietylko zgubił siebie ale i tych, których kochał. W pierwszych już chwilach, gdy królowę uprowadzał jej właściciel, musiał Hariezandra patrzeć jak synka jego potrącił nielitościwie nowy pan, musiał patrzeć i nie mógł, nie miał prawa go obronić.

Uczucia jego jako męża i ojca zranione, duma królewska, wstręty kastowe i ogólne ludzkie, wszystko staje przeciwko niemu. A nie przyświeca mu żadna nadzieja; to co się stało jest nieodwołalnem, jest dobrowolnie przyjętą karą za popełniony grzech. Nie śledząc stopniowo za rozwojem sztuki, przejdźmy odrazu do kulminacyjaego jej punktu. Pewnego razu w ubogo ubranej kobiecie, która ciało dziecko przyniosła na cmentarz, poznaje Hariezandra swoją małżonkę. Niewymownym bólem tchnie monolog Hariezandry w tem miejscu. „O wolałbym umrzeć — powiada — niż patrzeć na świat ten, któremu twarzyczka syna mego nie przyświeca.” I postanawia zabić się, lecz w tej chwili przypomina sobie, że jest niewolnikiem, że nie ma prawa rozporządzać życiem swojem, bo ono nie jego własnością. Sprzedał je parjasowi, i powinien dotrzymać umowy.

Zbliża się zatem do niewiasty, która poznaje w nim małżonka i króla. „Nie dotykaj ty się mnie królowo, dotknięcie moje plami” (w wyobrażeniu Indusów dotknięcie parjasa znieważa), woła do małżonki, chcącej go powitać. I żąda zapłaty, całunu z trupa dziecka swego. Okazuje się, że uboga niewiasta nie posiada całunu, więc Hariezandra nie może pogrzebać syna. Zgrzeszyłby przeciwko swemu panu. Tu tragiczne napięcie boleści dochodzi do kulminacyjnego punktu. Już i bogowie więcej od ludzi wymagać nie mogą. I w tej chwili na bohaterską parę małżonków zaczyna spływać deszcz kwiecisty. Następuje rodzaj apoteozy, w której występują bogowie. Wszystko było próbą tylko, z której zwycięzko wyszedł Hariezandra. Panem jego był bóg Wisznu, który umyślnie przybrał na się postać parjasa, braminem, któremu niewolnicą służyła królowa był Bóg Brahma.

Dramat ten jako skupiający w sobie wszystkie niemal główne rysy charakteryzujące piśmiennictwo staroindyjskie, opowiedział prelegent ciekawie słuchającej publiczności.

Mimo treści i formy, względnie do wyobrażeń naszych o dramacie, dziwacznej, musimy utworowi temu przyznać niezwykłą podniosłość ideału etycznego i wdzięk w niektórych miejscach do głębi poruszający duszę.

Odcięty od życia dramat staroindyjski nie odzwierciadla w sobie rzeczywistych typów ludzkich, ale ideał społeczności nadgangesowej, jest — wedle wyrażenia prelegenta — soczewką skupiającą w sobie promienie idealnych marzeń. Postaci złych nie spotykamy w nim prawie wcale, rolę czarnych charakterów pełnią demony, bóstwa złośliwe i t. p. Bohaterem zazwyczaj jest człowiek o nadludzkiej prawdziwie sile woli, umiejący dla miłości bliźniego poświęcić wszystko co człowiekowi drogiem być może.

A tu miłość u Indusa nie ogranicza się do człowieka, lecz rozszerza się o całą naturę, której on czuje się drobną cząstką tylko, a która nawzajem dręczy go także miłością. Oto np. jeden z bohaterów wyrzeka się nieba, ponieważ bóg Indru nie chce wraz z nim zabrać ulubionego psa, oto z innym nad losem jego płaczą liany i t. p.

Szukając w literaturze europejskiej typów pokrewnych idealnym postaciom, piśmiennictwa staroindyjskiego p. M. znalazł tylko księcia Niezłomnego Calderona. Kto wie jednak czy z czasem takie krańcowo bohaterskie idealnie czyste postacie nie zastąpią na scenach naszych zużytych i antypatycznych już prawie dla publiczności typów teatru francuzkiego. Kilkadziesiąt lat temu przepowiadał już Szopenhauer, że nadejdzie czas, w którym literatura sanskrycka na piśmiennictwo europejskie głębszy i potężniejszy wpływ wywierać zacznie, niżeli grecka niegdyś. Są oznaki pozwalające przypuszczać, że właśnie wstępujemy w ten okres.

W filozofii zwrot ku idealizmowi, w literaturze odrzucenie postulatów naturalizmu, dawanie przewagi uczuciu nad refleksyą, marzeniu nad obserwacyą, oto mniej więcej punkta styczne między umysłowością europejską ostatniej doby a staroindyjską.

F.

Jakie prawa

uchwala koniec naszego stulecia?

Przed rokiem z górą tłómaczyliśmy czytelniczkom naszym znaczenie ostatnich zmian zaszłych we Francyi odnośnie do stosunku prawnego między małżonkami. Były to w swoim czasie zmiany pełne wielkiego znaczenia, brzemienne niebezpieczeństwami ku którym fatalnie popychały społeczność francuzką. Autor ich p. Naquet złączył swoje nazwisko z prawem, które zdradziecko narzucił swojemu krajowi, wmawiając weń, że ułatwienie rozwodu wyda owoce najzbawienniejsze, że zmniejszy liczbę małżeństw uciekających się do tej smutnej ostateczności, że jednem słowem Francya może po tej reformie bardzo radykalnej, spodziewać się wszelkich błogosławieństw i niechybnego umoralnienia.

Następstwa nie kazały długo czekać na siebie. Zaledwie wprowadzono w życie nową ustawę, posypały się do sądów podania jak z rogu obfitości, liczba małżeństw rozdzielanych zdwoiła się w pierwszych zaraz latach, a gdy zaalarmowana opinja coraz głośniej protestować poczynała, znalazł pan Naquet sposób na uspokojenie obaw i uciszenie wrzawy, którą oburzenie publiczne podniosło. Perswadował on teraz znowu temu narodowi lekkomyślnemu, że to tylko początek taki był niepokojący, że teraz właśnie dopełnia się wielka likwidacya mącicieli małżeńskiej szczęśliwości, że ci pierwsi, którzy tak zarzucają sądy skargami swojemi, są to wszystko stadła skazane na rozdział nieuchronny, a gdy tych zabraknie, co rozumie się niebawem nastąpić winno, Francya da z siebie przykład, którym zaćmi epokę sielanek i arkadyjskiej prostoty obyczajów.

Cynicznie kłamał pan Naquet i jego stronnictwo. Mówimy dlatego — kłamał a nie zawiódł się, bo lata następne dawały rozwodowi kontyngens zwiększający się ciągle, co było przewidzianem przez niego. Ochłonąć już mieli czas ci, którzy się dotąd dziwowali niemądrze, i przyszli rozumie się do przekonania, że napływ żywiołów wywrotowych do izby deputowanych zdołał wytargować sobie podstępnie dzięki zręcznej sofistyce swego przywódcy, prawo rozprzęgające fatalnie stosunek małżeński — prawo, które właściwie mówiąc stało się pierwszym szczeblem do całkowitego zniesienia małżeństwa we Francyi.

Do tego zmierzało ono od początku samego, i tak go pojmowała od pierwszej chwili mała liczba umysłów trzeźwych, a przewidujących. To co przyszło potem — to na co Francya patrzy dzisiaj, to już tylko następstwa nieuniknione, których nic w rozpędzie nie zatrzyma — to już tylko ciągłe staczanie się po pochyłości w przepaść zdradziecko przygotowaną przez stronnictwo anarchiczne.

Przypatrzmyż się jakie są w dalszym ciągu losy tego rozprzężenia zorganizowanego przez prawo Naquet'a, jakie jego etapy i jaki przewidywany być może ostatni akt tragedyi, którego widownią będzie w niedalekiej prawdopodobnie przyszłości ta społeczność w rozkładzie.

Pierwsze ułatwienia i uproszczenia manipulacyi rozwodowej były jak powiedzieliśmy wstępem tylko.

Dotychczas jeśli między motywami przedstawionymi sądom przez jedną ze stron powaśnionych nie było przyczyn pociągających nieuchronnie wyrzeczenia dekretu rozwodowego, przysądzano żądającemu separacyą prawną.

Separacya ta, jako czyniąca w większości wypadków zadość wymaganiom strony krzywdzonej, okazywała się zupełnie niezadawalniającą dla krzywdzicieli. Dajmy na to powodem w sprawie o separacyą była małżonka ale ją do tego kroku popchnęło obmyślane i tendencyjne znęcanie się męża. Przyznano jej rozdział prawny, była wolną od prześladowań i niczego więcej nie miała do żądania od opieki jaką jej dawało prawo. Inaczej miały się zupełnie rzeczy z tym, którego postępowanie wywołało ze strony pokrzywdzonej skargę separacyjną. Cały szereg niesprawiedliwości, którego się z premedytacyą dopuścił, miał jedynie na celu uwolnienie się od związku, który mu ciężył, a że praktyka poucza, iż rzadko bardzo ciążą takie więzy mężczyznie, jeśli nie ma innych gotowych na ich osłodzenie, przeto mężczyzna w tym wypadku był zupełnie niezaspokojonym w żądaniach swoich.

On chciał rozwodu, któryby mu pozwalał zawrzeć związki nowe —prawo dawało mu uwolnie-

nie od dawnych, bez możności zastąpienia ich innemi.

Cóż się działo dalej?

Dalej po latach trzech, ale nie wcześniej, dozwalało prawo tej stronie przeciwko której sąd wyrzekł separacyą, wnieść skargę z żądaniem zamienienia obecnego stanu rzeczy na rozwód. Mówimy — dozwalało, ale nie były sądy obowiązane żądaniom takim zadość czynić i zawsze prawie gdy strona druga to jest skarżąca opierała się rozdziałowi stanowczemu, sądy stawały po jej stronie. Dosyć było, gdy strona pokrzywdzona w takiem, jak powyżej wymienione, zestawieniu, złożyła w sądach deklaracyą i udowodniła, iż ten naprzykład, który przez swoje postępowanie zrobił pożycie wspólne niemożliwem, działał w myśl planu zgóry powziętego i dążył do uwolnienia się od związków obecnych jedynie dla zawarcia nowych.

Był to przykład najpospolitszy. Podobało się mężowi uwolnić od małżonki, która mu od jakiegoś czasu ciężyła i dosyć było z jego strony całego szeregu krzywd i niesprawiedliwości, aby ją ostatecznie zmusić do wniesienia skargi, po której następowała w myśl uchwały Naquet'a nieuchronnie separacya z nadzieją rozwodu za lat trzy.

Dotąd nie sprzyjały sądy w niezmiernej większości wypadków wyrachowaniom podobnym. Ta, która się czuła niewinną ofiarą w źle dobranem stadle, rozumiała to dobrze, że rozwód byłby tylko uwieńczeniem krzywd, których się przeciwko niej dopuszczono, rozwodowi tedy z pobudek natury religijnej lub etycznej oponowała, a sądy stawały zawsze prawie po jej stronie. Boć w każdym razie należy to zrozumieć, że moralność przeciętnego sędziego jako ojca rodziny i zawsze człowieka nauki, więcej warta od moralności przeciętnego deputowanego w dzisiejszym stylu.

A teraz słów kilka o zmianach w prawie rozwodowem — zmianach, których połowa Francyi oczekuje z trwogą i niepokojem, dawszy się nareszcie przekonać, że w tej sferze stosunków są one przedostatnim etapem wielkiego procesu rozkładowego, który się pod rządem III-ej respubliki systematycznie dokonywa.

Prawo sankcyi senatu dotąd nie otrzymało, ale sądząc po łatwości z jaką przeszło przez izbę, pewni są Francuzi, że i tam znaczną większością potwierdzonem zostanie.

Otóż zmiana polega na tem, że podczas, gdy dotąd po trzechletniej separacyi prawnej kwestya czy rozwód mógł być zadekretowanym lub nie, zależała od orzeczenia trybunału, obecnie trzechlecie takie pociąga za sobą nieuchronnie rozwód, jeśli go jedna ze stron zażąda. Rozpatrywanie ponowne miejsca mieć na przyszłość nie będzie, i ostatecznie ten, który nadużyciem swojem wywołał żądanie separacyi, zatryumfuje zupełnie i na jednostronne żądanie swoje będzie uwolnionym od wszelkich zobowiązań.

Mniej moralnego prawa nie zawotowano jeszcze dotąd we Francyi, jak powiadają Francuzi sami. Ostatecznie biorąc rzecz sprawiedliwie a bezstronnie, ofiarą w niedobranem małżeństwie bywa zawsze prawie kobieta. Dotychczas w miarę jak uczucia humanitarne brały górę nad starym obyczajem, przyznającym całą powagę mężowi, wszystkie umysły szlachetniejsze a za nimi wszystkie prawodawstwa brały w opiekę pokrzywdzoną. I stało się tak, że stronnictwo najbardziej krańcowe, to które kobiecie obiecuje najwięcej, które ją ciągle łudzi i uwodzi rewindykacyami jakiemiś, to samo właśnie zadaje ostatni cios sprawiedliwości i uniemożebnia jej wszelką należną w stosunku małżeńskim obronę. Czas istotnie żeby kobieta zrozumiała czego się od tego kierunku spodziewać może na przyszłość—wielki czas, żeby przejrzała na oczy i pojęła, że to nie ku żadnym przewagom nad mężczyzną, nie ku tryumfom żadnym ciągnie ją fatalnie ten prąd szalony, ale ku niesławie, ku sromotnemu a samowolnemu odtrącaniu przez mężczyznę, wedle jego woli, zachcenia czy kaprysu.

Boć to przecie nie o co innego chodzi, jeno o związek wolny między mężczyzną a kobietą — o powrót do tego pierwotnego połączenia, które z takim trudem chrześciańska cywilizacya w ciągu wieków uszlachetniła dla dobra i godności kobiety. Dzisiaj we Francyi nikt już nie wątpi, że do tego zmierza cały machiawelizm stronnictwa krańcowego.

A jak to sobie dziś przypominają Francuzi, zkąd robota cała wzięła początek, jakie to były mętne owe źródła z których powstał i rozszerzył się ów potok dzisiejszy. Przypominają sobie salon, jeden z pierwszych w Paryżu i jego właścicielkę, osobę noszącą piękne, historyczne nazwisko francuzkie, ale używającej opinii takiej na jaką zasługiwała jej przeszłość leciuteńka i teraźniejszość wcale nie lepsza.

Osoba ta żyła w rozdziale z mężem, a że miała salony otwarte a przytem wielką miłość i cześć dla sztuki, więc nie trudno jej było zgromadzić przy urodzie i dostatkach tłumy całe tak zwanej arystokracyi ducha. Znalazł się tam i ex dyktator Gambetta a piękna separatka, która na mocy jednego z licznych a przemijających kaprysów swoich czuła najlepiej, jakie to w pewnych warunkach niedogodne przeszkody rozwodom stawia kościół i kodeks, oblegała wielkiego trybuna, który się dał powoli skłonić do jej zapatrywań, i wielkimi wpływami swoimi zgromadzić wszystko co w danym kierunku stanowiło opozycyą przeciw dotychczasowemu stanowi rzeczy.

We Francyi szybko idą takie sprawy. Tu się przygotowywało dzieło reformy, tu się zbierali wszyscy oburzający się na kajdany nakładane przez nierozerwalność związków, ztąd wzięła początek reforma, której Naquet dał, swoje nazwisko. Będzie ono dobrze pamiętnem we Francyi mamy nadzieję.

Jeżeli słusznemi ze wszelkich względów są te słowa: „Po dziełach ich poznacie je" to isto również przyjąć można za pewnik, że jacy robotnicy takiem będzie ich dzieło.

K.

TO I OWO.

✻ „Scientific American" podaje wykaz najwyższych budowli i kominów fabrycznych z cegły i metalu. Do takich zaliczają: komin fabryczny w Port-Dundas pod Glasgowem postawiony w roku 1858, którego wysokość dosięga 138 metrów; tych samych wymiarów komin stalowy w Saksonii; gmach wodociągowy w Cincinati 160 metrowej wysokości po nad poziom Ohio.

Zbliżają się te budowle do najwyższych pomników architektury europejskiej, takich jak katedry: Strassburgska i Kolońska i pomnik Waschingtona w Filadelfii, a nie dorównywają jednej tylko jedynej wieży Eiffel. I ona jednak będzie w krótkim już czasie drugą z porządku pod względem wysokości, bo ta która się obecnie wznosi ze stali w pobliżu Londynu i nosić ma nazwisko Great-Tower, zajmie miejsce naczelne. Kolos ten dosięgnie 380 metrów.

✻ Dobrodziejstwa serum przeciwdyfterytycznego doktora Roux, dają się już dzisiaj ocenić dotykalnie, a nawet przedstawić w cyfrach o ile te dotyczą Francyi. Statystyka wykazała, że w 108 większych miastach Francyi to jest takich, które liczą więcej niż 20,000 ludności w ciągu pierwszego półrocza roku 1895 zmarło na dyfteryt o dwie trzecie mniej niż w takiej samej połowie roku przez ciąg sześciolecia od 1888—1894 roku. To sześciolecie dało przeciętną ilość półroczną ofiar dyfterytu 2,627 a półrocze w którem zaczęto stosować środek doktora Roux zmniejszyło ich liczbę do 904.

Ogółem metoda Pasteura stosowana przez doktora Roux (bo zawsze w tym łańcuchu odkryć wypada się odnieść do wielkiego protoplasty) daje Francyi zmniejszenie śmiertelności wedle skrupulatnych obliczeń o całą olbrzymią cyfrę 15,000 ofiar.

W ten sposób zapobiega nauka nagłemu ubytkowi ludności w kraju, w którym liczba urodzeń zmniejsza się z roku na rok.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.